

Prolog

No więc tak, znaleziony. Jest tam.

Idzie z rękami w kieszeniach, z oczami spuszczoneymi, jak gdyby instynktownie przeczuwał zagrożenie. Nie jest tu bezpieczny. Wie o tym. Nie powinien był wracać do tego miasta. Nie jest u siebie. Kwestia terytorium. Kwestia zemsty i pamięci.

Idziecie za nim, obok siebie, ze wzrokiem wbitym w jego kark. Na ustach pytanie, którego nie chcecie wypowiedzieć. To co teraz robimy? Nie wiecie. Nie było potrzeby zastanawiać się nad tym. Został znaleziony, to wszystko.

Zbliża się do bramy prowadzącej na ulicę. Opuszcza teren szpitala. Odczekujecie chwilę i przyłączacie się do grupy odwiedzających, żeby iść za nim, opuszczając kaptury na czoła, żeby nie zidentyfikowano was później na monitoringu z kamery umieszczonej nad wejściem do parku.

Jest, tam, na końcu ulicy. Przyspieszacie, żeby go dogonić. Co teraz? Zaraz na pewno się zorientuje, że go śledzicie. Nie jesteście profesjonalistami, nie jesteście glinami. On zna wasze twarze. A wy zastanawiacie się po raz kolejny, czy budzi się w nocy, myśląc o was, o nim, o tym, co mu zrobił i czego nikt nie naprawił.

Spójrzcie prawdzie w oczy – nie jesteście samodzielny-
mi stróżami prawa. Opuśćcie. Zrezygnujcie. Nie macie
broni, obstawy, nie macie nic, jesteście niczym. Właśnie
dlatego do tego doszło.

Proszę was. Opuśćcie. Sprawa już przycichła, napraw-
dę. Ludzie zapomnieli. Nikt wam nie pomoże. Nikt wam
nie wybaczy.

To już piętnaście lat. Za późno. Trzeba było działać od
razu. Na przeszkodzie stanęła wasza młodość. Wasza wiel-
ka wściekłość. Ci, którzy mogliby wtedy coś zrobić, woleli
dostosować się do reguł gry. Jak można mieć im to za złe?

Wiecie, że to nie zwróci mu życia. Czego więc chcecie?
Przywrócić równowagę?

Zawróćcie. Jeśli nie zechcecie szanować reguł, każą wam
za to zapłacić stokrotnie. Oni mają prawo oszukiwać, ale
wy nie, i nikt nie powiedział, że to jest sprawiedliwe.

Wpycha się do autobusu. Wy też.

Pochłania was ciemność.

Rozdział 1

Kilka miesięcy wcześniej

Zauważyłem to wczoraj po południu, kiedy parkowaliśmy niedaleko szpitala. Graffiti wykonane czerwoną farbą na fasadzie fabryki, pośród tysiąca innych. Przedstawiało twarz nastolatka, z napisem pod spodem: „Sprawiedliwości dla Saïda”.

Zrobiło mi się dziwnie, naprawdę. Dobrze znałem to graffiti. Kiedy byłem mały, widziałem je na każdym murze w mojej dzielnicy, ale czas zrobił swoje, zburzyli wieżowce, a z nimi wszelkie wspomnienia.

Następnego dnia zamalowali ścianę na białą. Inne graffiti były bez znaczenia, ale nie mogli pozwolić, żeby właśnie to znów się pojawiło.

Omal nie powiedziałem tego Zé, kiedy tamtędy przechodziliśmy. Nasze spojrzenia się spotkały i w jego oczach dostrzegłem snujące się cienie. Wołałem milczeć.

Szliśmy odwiedzić Gabrielle i żadna inna rzecz dla niego się nie liczyła, a już na pewno nie twarz chłopca nieżyjącego od piętnastu lat.

Szpitalne łóżko.

Ona, Gabrielle, blada, igła w zgięciu łokcia, bandaże wokół nadgarstków. Oddech powolny i głęboki. Żaluzje przymknięte

do połowy na półmrok środowego popołudnia w październiku. Na zewnątrz zimno. Szpital jest dobrze ogrzewany.

Jej szeroko otwarte oczy, nieruchomo wpatrujące się w sufit od wielu dni.

On, Zé, siedzący w nogach łóżka z książką w ręku. *Medytacje poetyckie* Lamartine'a. Nie rozmawiają. Nie patrzą na siebie. Na ich twarzach żadnych emocji, tylko wielka pustka. Stąd bandaż, kroplówka i szpital.

Wchodzi pielęgniarka. Na oko jakaś czterdziestka. Zmarszczki wokół oczu. Malutka blizna u podstawy szyi. Nie zwraca uwagi na Zé, jest przyzwyczajona do jego wytrwałej obecności. Idzie prosto w stronę łóżka. Wita Gabrielle niezwykle szczerym, trochę suchym „Dzień dobry”. Jest zmęczona. To się czuje. Ani mężczyzna, ani kobieta na nią nie patrzą. Wyjmuje igłę, od razu przykładą sterylny kompres, którym zatyka małą dziurkę w miejscu wkłucia. Zakleja plastrem. Zamierza wyjść z sali, nie mówiąc więcej ani słowa. I nawet nie chodzi o to, że ona źle wykonuje swój zawód. Panująca tu głucha cisza jest zaraźliwa.

Zauważa mnie jednak. Podrywa się.

– Co to...

Jej słowa odrywają Zé od lektury. Odwraca się do niej, potem do mnie, jakby zapomniał o mojej obecności.

– Kim jest to dziecko?

– Nikim – odpowiada (*bardzo dziękuję*). – To mój wychowanek.

– Pana wychowanek?

Spogląda kolejno na każdego z nas, zastanawiając się, o co chodzi z tą różnicą wieku między nami.

– Proszę pana, na tym oddziale nie wolno przebywać osobom poniżej piętnastego roku życia.

– Tak? A zapłaci pani za opiekunkę? Bo ja nie mogę. Niech pani będzie taka miła i da nam spokój, to spotkanie rodzinne.

Ale ona wpatruje się w niego. Czuję narastającą w niej złość. Mnóstwo małych okruczeństw złości, gromadzonych w ciągu lat spędzonych na poszukiwaniu chwiejnej równowagi między etyką, ludzkością, rozgoryczeniem i ciężką pracą. Każde upokorzenie musi jej przypominać wszystkie inne. Zé już się od niej odwrócił i znów pogрузzył w swoich *Medytacjach*. Zé potrafi być strasznym dupkiem, jeśli chce. On nawet nie czyta. On tego Lamartine’a zna na pamięć.

Napięte ramiona pielęgniarki powoli się rozluźniają. Wybuchnie innego dnia. Myślę, że niedługo. Może zadowolony się zwymyśleniem jakiegoś pacjenta. Albo zwiększy dzienną dawkę chlorku potasu, którą poda innemu pacjentowi. Kilka gramów wystarczy, żeby zabić, a potem tłumaczyć to błędem w dawkowaniu. Albo kiedyś przyjdzie rano do szpitala z karabinkiem półautomatycznym. Zé mówi, że mam zbyt bogatą wyobraźnię.

– Nie musi pan odzywać się do mnie tym tonem. Rozumiem, że jest pan zdenerwowany, ale to nie powód, żeby się wyładowywać na personelu.

Odchodzi, nie czekając na odpowiedź, której i tak by nie było. Zresztą nawet nie jestem pewien, czy Zé usłyszał, co powiedziała. Jeśli tak – nie obchodzi go to. Nie obchodzi go prawie nic oprócz niektórych starannie wybranych poetów. I – oczywiście – oprócz Gabrielle.

Gabrielle ma zabandażowane nadgarstki. Nie widać szwów posmarowanych maścią Betadine ani długości ran przed zszyciem. Szpital jest czysty, higieniczny. Bandaże również. Nie tak jak tylne siedzenie samochodu, gdzie Zé i ja znaleźliśmy ją, z oczami pustymi jak u ryby wyjętej z wody.

Patrzy w sufit. Nie robi nic innego, od kiedy tu jest.

Chwilę obserwuję ich oboje – nie zwracają na mnie uwagi – i wracam do własnej lektury. To podręcznik do angielskiego. Udaję, że czytam, ale właściwie słucham. W szpitalu człowiek nigdy się nie nudzi. Cały czas słychać szybkie kroki pielęgniarek i salowych. Powolniejsze kroki pacjentów, którzy idą odetchnąć świeżym powietrzem, zapalić albo stanąć przed automatem do kawy. Taka fabryka, z całą maszyną, robotnikami, majstrami, własnymi prawami.

Gabrielle jest tu od tygodnia. Nie zdrowieje za szybko. Zé mówi, że odpoczywa.

W jej pokoju, dzień po dniu, narasta cisza.

Zé zabrał mnie ze szkolnego boiska. Koledzy odsunęli się na widok tej wysokiej, muskularnej postaci w długim nieprzemakalnym płaszczu – wyglądał trochę jak

pedofil – i nauczyciele stanęli między nami, ale powiedziałem: „To mój opiekun”. Nikt mi nie uwierzył. Przewidział to i machnął papierem od sędziego dla nieletnich jak argumentem ostatecznym.

Powiedział do mnie:

– Potrzebuję cię, żebyś jej pilnował.

Ja usłyszałem:

– Potrzebuję cię, żebyś mnie pilnował.

W rezultacie nie chodzę do szkoły od dwóch dni. Nie żebym naprawdę coś na tym stracił.

Wieczorem, po zabranii naczyń, salowa zmusza Zé do wyjścia. Zé opiera się dla formy, ale to dla odwrócenia uwagi. Na odgłos pukania do drzwi wślizgnąłem się pod łóżko. Kroki salowej oddalają się i zostaję sam z Gabrielle. To lepsze niż być samemu z Zé. Układam się pod łóżkiem. Jestem zmęczony. Nie powinienem spać, ale nie ma co przesadzać. W końcu jestem dzieckiem i potrzebuję snu – i to nie mój problem.

Drzemię jakoś mimo głośnych rozmów personelu na korytarzu. Głos Gabrielle wrywa mnie z odrętwienia.

– Mattia?

Mattia to ja. Nie Matt. Ani dla bliskich, ani dla nikogo.

– Ććśś... – mówię. – Nie wolno mi tu być.

Śmieje się cicho.

– Zé powiedział ci, żebyś się schował?

– Zé to dupek.

– To zależy kiedy.

Opierając się na łokciach, wypęłam z mojej kryjówki. Gabrielle odwróciła się na łóżku. Patrzy na ścianę. Przypuszczam, że ma już dość sufitu. Jej skręcone włosy leżą na poduszce po obu stronach twarzy. Zakrywają częściowo jej błyszczące oczy. Nie wiem, czy to gorączka, łzy, czy światło księżycy sprawia, że tak błyszczą.

Niezręczna cisza odpływa do łazienki. Czuję ją, przycajoną, gotową do skoku na pierwszą oznakę słabości, jak zwierzę tropiące swoją zdobycz. Wstaję. Szukam jej spojrzenia, ale znajduję tylko półmrok, który wślizguje się skrycie w jej źrenice, żeby mi przeszkodzić wyraźnie je widzieć.

Uśmiecha się w pustkę. Cisza już chce wystawić nos ze swojej kryjówki. Próbuję ją odstraszyć (kiepsko).

– W porządku?

– Oczywiście.

Cisza wybucha i przygniata nas swoją bezkształtną masą. Moje ramiona uginają się pod jej ciężarem. Znowu wsuwam się pod łóżko, ale do świtu nie udaje mi się zasnąć.

Myślę o Saïdzie. Zginął, zanim się urodziłem. Zastanawiam się, kto jeszcze teraz zadał sobie trud domagania się sprawiedliwości, skoro sprawiedliwość wypowiedziała się już dawno temu.

Słyszę jednak, jak Gabrielle spokojnie oddycha, i próbuję się skoncentrować na chwili obecnej.

Stosownie do zaleceń Zé rano czekam z wyjściem z pokoju na zmianę ekip dyżurujących. W takiej chwili personel nie lubi, żeby mu przeszkadzano. Gabinet zabiegowy jest zamknięty, a ja jestem za mały, żeby można mnie zobaczyć przez oszkloną część drzwi. Mogę iść sobie spokojnie korytarzem. Mijam jednego czy dwóch pacjentów, rzucają mi zaciekawione spojrzenia, zaskoczeni widokiem samotnego chłopca na oddziale psychiatrycznym. Ale ludzie są zbyt pochłonięci własnymi chorobami, by chcieć zadawać pytania. Nie ma to jak szpital, żeby się przemknąć niezauważenie.

Biorę sobie z automatu gorącą czekoladę i idę do kafeтерии czekać na Zé. Kończy swoją robotę w porze, kiedy pielęgniarki się zmieniają. Jest nocnym stróżem w jakimś markecie. Mówi, że to gówniana robota, ale konieczna.

Przychodzi dokładnie o wpół do ósmej. Po wejściu do sali szuka mnie wzrokiem, zauważa od razu. Siada naprzeciwko.

– Jak ona się czuje?

Ma termos z kawą. Częstuje mnie odruchowo. Odma-wiam, kręcąc głową.

– Nie wiem. Prawie nic nie mówiła.

– Ale coś powiedziała?

– Głodny jestem.

Ten sknera dał mi tylko trochę forsy na picie. Czasem zapomina, że muszę jeść. Kupuje mi dwa croissanty

i drożdżówkę z rodzynekami i ta niezwykła hojność każe mi przypuszczać, że jest świadomy tego, że zmusił mnie do spędzenia trochę uciążliwej nocy.

– Co ci powiedziała? – pyta znowu, kiedy skończyłem jeść.

– Nic. Tylko spytała, czy to ty kazałeś mi się tam schować. Powiedziałem, że jesteś dupkiem. Ona odpowiedziała, że to zależy kiedy.

Uśmiecha się. To chyba największy komplement, jaki w życiu usłyszał. Strzepuje z kołnierza mojej kurtki okruszki croissanta. Wiedziałem, że jestem upaprany, ale chciałem się przekonać, czy on to zauważy. Od kiedy jestem mu przydatny, dużo bardziej się mną interesuje. Gabrielle powinna się częściej zabijać.

– Idę ją zobaczyć – mówi. – Chcesz wrócić do szkoły?

– Też coś!

Chcę wrócić do domu, ale on nie mówi, że mnie odwiezie. Potrzebuje mnie jeszcze, żeby upiększyć ciszę. Denerwuje mnie to. Nic nie mówię. Idę za nim na trzecie piętro. Jest tam, niemal przezroczysta, śpi. Kolorem można by ją pomylić z prześcieradłem, tylko że ono jest obszyte cienką brązową lamówką. A on, Zé, patrzy na nią z taką czułością, z jaką na mnie nigdy nie spojrział.

Odwracam się, przełykając gorycz, która zatyka mi przełyk. Mój podręcznik do angielskiego nie potrafi mi poprawić nastroju. Tak samo zresztą jak Lamartine nie jest w stanie zmusić Zé do zapomnienia na dłużej niż

minutę, że jedyna osoba, którą na tym świecie kocha, podcięła sobie w zeszłym tygodniu żyły. Schudł. Nic nie je, od kiedy odeszła.

Miłość powinna być zakazana.

Zresztą szkoła też.

Po tygodniu Zé nagle odzyskuje zmysły i wraca do roli opiekuna prawnego. Zmusza mnie do powrotu do szkoły tak samo szybko, jak mnie z niej zabrał.

Siedzę z przodu na siedzeniu pasażera i patrzę w lusterku na tylne siedzenie. Pamiętam krew, która w nie wsiąkała. Spędziłem pół nocy na czyszczeniu go, a Zé w szoku wpatrywał się bez drgnienia w ścianę przed nim – jak Gabrielle w szpitalu. Po samobójstwie nie został już żaden ślad. W każdym razie nie w samochodzie.

Nie rozmawiamy. Na trasie do szkoły znowu cisza. Nie mam ochoty tam wracać.

– Nie chcę tam iść.

Milczenie. Szturcham Zé w ramię:

– Nie chcę tam iść!

– Nie bądź dzieckiem.

– Wszyscy będą pytać, dlaczego się urwałem.

– Wymyśl coś.

– Nie mogę powiedzieć prawdy?

– Jak chcesz, ale twoi kumple zaczną uważać, że przynosisz pecha.

Znowu milczenie. Milczenie potwora! Zwierza z rozwidlonym ogonem, bez języka, bez zębów, bez podniebienia, ale z wargami, żeby mogły się z nas śmiać.

Porażony własnymi słowami Zé analizuje, co właśnie powiedział. Ja też.

– Skurwysyn – mruczę.

Staje przed szkołą. Drżą mu palce, w których trzyma papierosa.

– Strasznie mi przykro. Możesz dziś zostać ze mną, jeśli chc...

– Wolę iść do szkoły – mówię, trzaskając drzwiami.

A on wie, jak strasznie tej szkoły nienawidzę.

Wszyscy uczniowie oprócz mnie są zakochani w nauczycielce. Podobno jest piękna. Ma dwadzieścia osiem lat, ręce całe zakryte brazylijskimi bransoletami (a nie bandażami), krótkie włosy, piegi, nazywa się pani Sivrieux. Na początku roku szkolnego bardzo mnie lubiła. Nazywała mnie swoim „cudownym chłopcem”. Nie dlatego, że miałem dobre stopnie, ale dlatego, że raz: siedziałem cicho, co robiło niezwykle wrażenie, że słucham na lekcji, i dwa: szybko rozumiałem i pomagałem innym, po to, żeby uważali, że jestem fajny i żeby mi dali spokój.

Potem te pierwsze wrażenia się rozwiały. Pani Sivrieux zrozumiała, że nie byłem takim małym geniuszem, jak jej się zdawało. Szybko machnęła na mnie ręką i zajęła się

innymi, tymi inteligentnymi, prawdziwymi, pracowitymi. No i dobrze. Nie lubiłem być uważany za najlepszego w klasie. Zawsze wolałem patrzeć przez okno.

Na dziedzińcu parami w rzędzie. Pada. Uświadamiam sobie, że zapomniałem plecaka, właśnie w chwili, gdy wszyscy to zauważają. Pokazują mnie sobie palcami. Podchodzi pani Sivrieux, bardziej zaniepokojona niż groźna.

– Co z tobą było, Mattia? Cały tydzień bez wiadomości. Martwiliśmy się.

Oczywiście nie ma kartki od rodziców, żeby usprawiedliwić nieobecność. Jak tu winić Zé? Wzruszam ramionami na znak poczucia winy.

– Byłem w szpitalu.

– Chorowałeś?

– Nie ja. Dziewczyna mojego opiekuna.

Widzę w jej oczach, że te dalekie więzy rodzinne nie są usprawiedliwieniem tak długich wakacji. No dobra. Wolałem, żeby do tego nie doszło, ale sama chciała.

– Podcięła sobie żyły. Mój opiekun mnie potrzebował.

Jej uśmiech zamiera. Wciskam się na swoje miejsce w rzędzie, nie czekając na jej reakcję. Niech Zé sam sobie radzi z wyjaśnieniami. W końcu to nie moja wina, że ciągną się za mną wszystkie patologie godne opieki społecznej.

Szesnasta trzydzieści. Zé powinien po mnie przyjechać, ale on nigdy nie zdąża na czas. Nie mam mu tego za złe: tym

razem jest usprawiedliwiony. Musiał cały dzień przesiedzieć przy łóżku Gabrielle, dzieląc się pustką.

Wyczekuję na niego na rogu ulicy, przeglądając zadania z matmy, żeby wieczorem mieć czas na oglądanie kreskówek. Przez tę całą historię ze szpitalem straciłem tydzień telewizji.

I wtedy ich zauważam.

Dwaj mężczyźni. Jeden około czterdziestki, drugi trochę starszy, w mocno zasznurowanych adidasach, jeden ubrany w zamszową kurtkę, drugi w wiatrówkę khaki, stoją po drugiej stronie ulicy pod markizą poczty. Rozmawiają i zerkają na mnie z ukosa.

Nie boję się. Pedofile rzadko chodzą we dwóch, a kidnapery wybierają tylko dzieciaki bogaczy (i tych, których brak się zauważy, a to raczej nie mój przypadek, skoro Zé chyba zupełnie zapomniał o moim istnieniu, wredny drań).

Nudzę się i zbliża się pora mojej ulubionej kreskówki. Patrzę na zegarek. Już mam wracać pieszo, kiedy typ w zamszowej kurtce decyduje się przejść przez ulicę. Podchodzi do mnie, uśmiechając się.

– Cześć – mówi.

– Cześć.

– Ty się nazywasz Mattia Lorozzi?

– Bo co?

Śmieje się bez sensu i wyciąga do mnie rękę. Nie przyjmuje jej. Po chwili wkłada rękę do kieszeni. Wciąż się uśmiecha.

– Jestem przyjacielem Zé. Mieszkasz z nim, nie?

Nie odpowiadam.

– Nie widziałem go od lat, próbuję złapać z nim kontakt. Myślałem, że przyjedzie zabrać cię ze szkoły. Chciałem mu zrobić niespodziankę.

– Skąd pan wie, że jest moim opiekunem?

– Śledziłem całą historię...

Drugi typ udaje, że interesuje się ruchem na ulicy, ale dyskretnie nas obserwuje. Przypuszczam, że kłamia. Przyjaciele to nie jest bajka Zé.

– A ten facet z tyłu to pana goryl?

Tym razem przestaje się uśmiechać. Wolę tak. Pochyliła się, dopasowując się do mojego wzrostu. Spoglądałam na niego nieufnie.

– Jesteś strasznie pewny siebie jak na sześciolatka.

– Mam jedenaście lat.

– Chcę tylko odnowić znajomość ze starym przyjacielem z dzieciństwa. Dlaczego jesteś taki nieufny? Ktoś ci powiedział, że z nieznanymi się nie rozmawia?

– No właśnie – mówię i idę swoją drogą.

Ale on mnie dogania i podąża obok mnie.

– Wiesz o tym, że twój opiekun jest mordercą?

Przystaję. On też. Uśmiecham się. On nie. Odwracam się twarzą do niego. Jego kumpel nie poszedł za nami. Został koło poczty, z rękami w kieszeniach, spogląda gdzie indziej, jak gdyby zrozumiał moją nieufność.

– Tak – odpowiadam.

– Mieszkaś z nim, a boisz się ludzi na ulicy?

– Nie boję się. Wkurza mnie pan i tyle.

Zawracam w kierunku szpitala. Tym razem nie próbuje mnie dogonić. Widzę jego odbicie w witrynie jakiegoś sklepu. Nie porusza się, stoi na środku jezdni, z pośępną miną patrzy na mnie, jak odchodzę, i nie odwraca się, za nim nie zniknę mu z oczu.

Czyli glina albo gangster.

Zé nie ma w szpitalu. Pielęgniarka mówi mi, że właśnie odjechał. Wreszcie przypomniał sobie, że istnieję. Nie ma komórki, więc czekam na niego grzecznie, siedząc w kącie przy oknie. Gabrielle nie odpowiada na moje próby rozmowy.

Zé każe na siebie czekać mniej więcej do szóstej. Wpada jak wicher do pokoju i kiedy mnie widzi, jego oczy wyrażają ogromną ulgę.

– Przyszedłeś tu sam?

– Musiałem! Spóźniłeś się...

– *Zawsze* się spóźniam.

– Jacyś faceci cię szukają.

Zauważyłem chwilę wahania, nie jest pewien, czy chce o tym rozmawiać przy Gabrielle, ale to ja jestem dziecko, nie ona. I tylko dlatego, że ona nie chce rozmawiać, nie powinna być wykluczona z naszych rozmów.

– Kto taki? – pyta, dość spokojnie, zdejmując kurtkę.

– Gliny albo gangsterzy. Czekali na mnie przed szkołą. Pytali, czy mieszkam z tobą.

Kręci głową, wskazując na Gabrielle, ale ona nie zareagowała.

– Tylko jeden problem na raz, jeśli pozwolisz.

Obśmiewam się w duchu. Gdyby to mogło być regułą we wszechświecie, mieszkałbym jeszcze z moją prawdziwą rodziną.